

665

Pisane z zalem

Teatr Powszechny — „Bel-Ami i jego sobowtór” Luciano Codignoli, przekład Joanna Walter, reżyseria Giovanni Pagnigione, scenografia — André Acquart.

Wszystko jest względne, zwłaszcza wielkość sztuki. Świadomość tego akjomatu każe mi nieraz, gdy jako krytyk stykam się z dziełem, które osobiście uznaję za fatalne, szukać przesłanek powodujących artystę, co dzieło stworzył. I nie intencji (te zawsze bywają złośliwe!), a właśnie rozmowych przesłanek. Gdy je odcyfruję, zdarza mi się inaczej spojrzeć na dzieło, które



w pierwszym patrzeniu jedynie drażniło.

Nie mogę dotrzeć do przesłanek, co kazały dyrekcji Teatru Powszechnego wystawić sztuczki Luciano Codignoli. Znam od lat i wysoko cenię artystyczną wrażliwość, dojrzałość, takt dyr. Zygmunta Hübnera. Kilka razy nie zgadzałem się z jego szczegółowymi propozycjami — był to zawsze spór o wartości wymierne. O „Bel-Ami i jego sobowtóra” spierać się nie sposób i nie warto. Sztuka to dość banalne streszczenie znanej powieści Maupassanta, faszerowane scenkami z biografii samego powieściopisarza.

Streszczenie jest tandetne, faras za to piekielnie pretensjonalny — całość bije rekordy złego smaku. Niechlujstwo stylistyczne, językowe nieporadności kazały stwierdzić, że ma w tym wszystkim znaczny udział i tłumaczka (Joanna Walter). Nie znając oryginalnego tekstu trudno wymiar tego udziału określić — znając „Panią Bovary” oraz „Baryleczkę”, trudno przecieżyć uwierzyć, że dwóch jegomości, co do siebie helkoczą — w tekście Codignoli — to stynni stylści — Flaubert i Maupassant.

Talent występujących w spektaklu aktorów potrafi ich częściowo wybrońić ze szlamu quasi-literatury. Starają się tworzyć sytuacje obok tekstu, poza tekstem, wbrew tekstowi. Stwarza to w przedstawieniu dodatkowy element niespójności, ale pozwala zachwycać się inwencją Wojciecha Pszoniaka, Gustawa Lutkiewicza, Mirosławy Dubrawskiej, Elżbiety Kępińskiej, Joanny Żółkowskiej, Ewy Dałkowskiej. Nie wszystkim, niestety, zakres zadań na inwencję zezwolił. Za to importowany z Paryża scenograf unaoczniał nam, jak dumni być możemy z poziomu scenografów własnych.

I to wszystko na scenie, w której powstawaniem tak wiele wiązaliśmy nadziei. Osobiście żywię je zresztą nadal. Porażki startu mają w sobie coś z kokluzy: trzeba to po prostu w pewnym momencie odchorować. Jestem pewien, że Zygmunt Hübner i jego aktorzy już wkrótce dadzą stołecznym teatrom powody szczerzej satysfakcji.